

WALERY PRZYBOROWSKI.

CIEŃ.

(Powieść z przed stu lat).

Autor zastrzega sobie prawo przedruków i tłumaczeń.

22

— Mylisz się pan — odrzekłam — o ile wiem i o ile sądzić mogę z jej listów, które często pisywała do mnie, była ona gorąco przywiązana do pana.

— Dla czegoż więc poszła za tego człowieka?

— Ja nie wiem, ale opowiedz nam, co wiesz, a może uda nam się, jak to sam powiedziałeś, wyjaśnienie tej tajemnicy. A najprzód, czy pan znasz tego człowieka i co on za jeden!

— Znam, poznałem go, gdyśmy z wojskiem naszym znaleźli się w siłach między Sanem i Wisłą. Przybył on wtedy do obozu naszego, zaciągnął się do szeregów, złożony wprzód znaczna podobno suma na potrzeby naszej armii. Poprzednio nie znałem go wcale, lecz gdy zaczęto mówić o nadzwyczajnym jego podobieństwie do mnie, postarałem się zobaczyć go, a nawet zapoznać z nim. W rzeczy samej podobieństwo było tak wielkie, że patrząc na niego, zdawało mi się, że widzę siebie samego.

— Istotnie, zawołałam, rzecz to jest niezwykła, nadzwyczajna. Prawdziwy kaprys natury.

— Nie jest to żaden kaprys natury, ale chcąc go wytłumaczyć, muszę sięgnąć w dawny czas. Gdyśmy się zapoznali i rozgadyli o tem podobieństwie, które nas obu dziwiło, pokazało się, że w nas jedna krew płynie.

— Czy być może!

— Tak, jedna krew. Człowiek ten nazywa się Gaworowski, Tomasz Gaworowski i niegdyś, przed dwustu laty, przodek mój, głośny artysta malarz, Tomasz Dolabella, był kochankiem jakiejś pani Gaworowskiej. Owocem tego zdołanego związku był syn, którego praprawnuczką jest właśnie człowiek, którego fatalne podobieństwo do mnie tyle nieszczęść spowodowało.

— Co za dziwna historia!

— Zapewne, że dziwna, a jednak prawdziwa. Któż zbada tajemnice natury, skryte prawa dziedzictwa, a może groźny palec Boży, karzący za grzechy ojców dziesiąte pokolenie... Ja, może właśnie jestem ofiarą tej kary...

— Nie wierzę w to i niepotrzebnie dodajesz pan takimi myślami goręczy do swego położenia. Ale proszę, mów mi pan dalej o tym Gaworowskim.

— Nie podobał on mi się bardzo. Był skryty, niespokojny, nierówny w postępowaniu, intrygant i pochlebca względem zwierzchników, poza plecami których wygadywał na nich niestworzone rzeczy, a w oczy kłaniał im się i lizał brzydko. Do mnie przyczepił się i nie odstępował mi ani na chwilę i powoli, rozmawiając o tych naszych przodkach, którzy grzeszyli wspólnie, wywiadywał się o wszystkie szczegóły z mego życia i w końcu dobiadał się i tego, że moje serce oddane jest pannie Julii Dziaduskiej. Czasami zdawało mi się z jego słów, że ją zna, ale gdy go o to raz zapytałem, zaprzeczył temu stanowczo. Dziś jestem pewny, że ją znał, ale skąd i gdzie, nie wiem.

Na te słowa błysła mi dziwna myśl w głowie:

— Czekajno pan, panie kawalerze! przypominam sobie, że w jednym liście Julii, do mnie pisanym, znajduje się wzmianka o jakimś mnichu, którego nadzwyczajne podobieństwo do pana uderzyło wtedy Julię.

— Co pani mówi? pisała o tem?

— Tak, pisała. Proszę tu chwilę poczekać. Pobiegnę i poszukam tego listu.

Jakoż co żywo skoczyłam do mego pokoju i otworzywszy szkatułkę, w której przechowuję ważniejsze listy, odszukałam owe pismo Julii. Wróciwszy,

głośno odczytałam panu Dolabelli ustępy następujące:

„...ten mnich, tak uderzająco podobny z twarzy, głosu, figury do kawalera Dolabelli, nie mógł nim być ze swą rubasznnością i pijaństwem. Zresztą, gdyby to był kawaler, toć przecie starałby się ze mną zobaczyć, a mnich, jak mi Zuzia (tu objaśniłam słuchacza, kto była Zuzia) powiedziała, zaraz nazajutrz o samym świcie wyjechał! Nie, to nie był kawaler, ale jakieś bolesne dla mnie wstrząśnienie, jakie dziwne, niestyczne podobieństwo“...

A dalej:

„...nakoniec przypominam sobie, że w żaden sposób ten mnich nie może być kawalerem, bo kawaler jest we Francji, w Paryżu; przecie jedna osoba w dwóch miejscach naraz znajdować się nie może“.

Gdy przeczytałam te słowa panu Dolabelli, milczał on długo, a łzy mu jak groch płynęły z jego pięknych oczów. Obtarł je i rzekł po chwili:

— Daruj pani, naprawdę, wstyd mi, że płacząc, ale słowa te panny Julii wzruszyły mnie głęboko.



Głośno odczytałam pannę Dolabelli ustępy pamiętnika...

Boże! czemuż ja wtedy byłem od niej tak daleko!...

— Coż jednak za wniosek wyprowadzasz pan z tych ustępów listu?

— Taki, że Gaworowski znał Julię, że znalazł się w Zamkowej Woli, przebrany za jakiegoś mnicha. Dla czego to uczynił, nie wiem jeszcze, ale się dowiem, choćby mi przyszło życie i majątek temu zadaniu poświęcić.

Pytał potem jeszcze o niektóre szczegóły i w końcu oświadczył, że pójdzie do kościoła, w którym Julia ślub brała, żeby zobaczyć, pod jakim nazwiskiem Gaworowski akt spisać kazał.

— Pod pańskim — odrzekłam.

— Skąd pani wie o tem?

— Przecież byłam na ślubie i wiem, że mąż Julii wszystkie potrzebne papiery posiadał. Skądże on tych papierów dostał?

— Ukradł je mnie.

— Panu! jakim sposobem? zawołałam zdziwiona.

— Hm! — odrzekł — muszę pani wszystko opowiedzieć. Rzecz ta ściśle jest związana z moją raną, dostaniem się do niewoli kajzerlików i pogłoską o mej śmierci.

Tu kawaler opowiadał, że został wysłany przez

księcia Józefa, na czele kilkunastu ludzi, na podjazd, a do tej wyprawy nieproszony przez nikogo, przyłączył się i Gaworowski. Opadnięci znienacka przez przemagającą siłę huzarów węgierskich, pomimo walecznego oporu zostali pokonani. W starciu tem kawaler, cięty pałaszem w głowę i rękę, spadł z konia i stracił przytomność, a gdy przyszedł do siebie, znalazł się w rękach nieprzyjaciela, obdartym do nitki i pozbawionym papierów rodzinnych, które zawsze w pugilaresie nosił przy sobie. Przypomina sobie przytem, że na chwilę, boleśnie urażony w porąbaną rękę, otworzył oczy i zdaje mu się, że widział nad sobą pochylonego Gaworowskiego, ale nie był pewnym, czy się nie mylił, bo zaraz potem wpadł w ciężkie omdlenie.

— Wtedy, kończył kawaler swe smutne opowiadanie, nie byłem pewnym, czy to Gaworowski, czy nie, ale dziś gotówem przysiąc, że to on mię obrabował.

Długo jeszcze rozmawialiśmy o tym przedmiocie, co jednak nie może cię interesować, droga pani, zwłaszcza, że i tak list ten jest zbyt długi. Zapytany przeze mnie kawaler, co teraz zamysła czynić — odrzekł:

— Zbiorę jeszcze nieco wiadomości i za przykładem dzielnego pana Dziaduskiego puszczę się w pogon za tym nędznikiem, pomszczę się na nim, zabiję go!

Gdy to mówił, oczy mu błyszczały ogniem gniewu. Chcąc go uspokoić, zawołałam:

— Panie, wszak bądź co bądź jest to mąż Julii... cóż ona nieszczęśliwa wtedy zrobi?

Jęknął z rozpacz, załamał ręce, szybko pożegnał się ze mną i wybiegł.

Oto masz, droga pani, szczegółową relację o mojem osobliwym widzeniu się z kawalerem Dolabellą. Dla mnie, jakem to już raz zaznaczyła, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Julia wiedziała, za kogo idzie. Ale dla czego to uczyniła? Różne robię przypuszczenia, ale nie chcę o tem pisać.

Kończę już, tysiące obiega tu pogłosek o tej nieszczęśliwej sprawie, a między innymi papa mi dziś mówił, że ślub Julii jest nieważny, bo dawał go nie ksiądz, ale jakiś braciszek, zbiegły podobno z klasztoru Świętokrzyskiego, leżącego na Łysej Górze, w pobliżu Zamkowej Woli. Nie wiem, czy to prawda, ale jeżeli jest prawda, jakże tragicznym jest teraz położenie Julii. Boję się o tem myśleć i kończę to pismo, przesyłając ci, droga pani, tysiące ucałowań. Jestem chora, głęboko zmartwiona całą tą nieszczęśliwą historią. Biedne my kobiety!

Toute à vous

Hortence

XIX.

Zuzia do pana Alfonsa Dziurkiewicza+).

Nowy Targ, d. 4 sierpnia w dzień św. Dominika.

Najdroższy szerczu mojemu Fonsiu! Piszę ten list, przesyłając ci pozdrowienie, życząc ci zdrowia i szczęścia od twojej, zawsze cię kochającej Zuzi i tyż dużo pocałunków ci dołączam, choć ty tam może za jenszemi dziewczkami latasz, bo to u żołnierzy nie nowina. To co się stało z moją panią, panną Julią, chociaż ona tera nie jest już panną, ale mężatka, to było zwyczajne mężczyńskie oszustwo i łajdactwo, to tyż ja pedam, że kuźda mężczyzna, to gorzej za przeproszeniem psza. My to niy mieliśmy jechać do dóbrów i majątności wielkich męża mojej pani, a to było wszystko wielkie oszukaństwo i tyle. Zadnych dóbrów ón niema i przyjechaliśmy tu do Nowego Targu, co jest miasto takie jak, z przeproszeniem, nasz Wierzbnik albo Daleszyce i stanęliśmy w żydowskiej karczmie, gdzie smród od cebuli i bachorów był taki, że moja pani się rozchorowała i tyż wymioty miała, co, jako wiadomo, zawsze jest u niewiast, gdy są w takim stanie, jak to i u mnie było, bez twoje najdroższy szerczu mojemu Fonsiu, zberezeństwo. Tyż całuję cię i nie gniewam się. Co robiący, a tu się pokazuje, że mój pan niema pieniędzy i byłaby wielka bieda, ale przyjechał na drugi dzień za namy ten ksiądz, co

*) Zbyt fantastyczną ortografią panny Zuzi autor tu i owdzie sprostował.